NUMER 41. DNIA 12-go PAŹDZIERNIKA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Z LISTÓW SZOPENA.

Wiadomą jest rzeczą, że Szopen niechętnie wdawał się w korespondencję. Nawet Liszt wspomniał pewnego razu z żalem o tej wadzie mistrza. Dlatego ogłoszenie klikudziesięciu wierszy z korespondencji Szopena, choćby się tyczyły najzwyklejszych spraw życia codziennego, wywołuje pewną sensację. Niedawno temu *Revue hebdomadaire* ogłosiła kilka wyjątków ze znalezionych w ostatnich czasach listów genialnego kompozytora. Są one przeważnie pisane do przyjaciela Fontany i mają datę roku 1840. Między tymi listami znajduje się jeden, napisany przez Szopena wówczas, kiedy wybierał się z panią Sand z Nohant do Paryża. Uwidocznia się w nim cała czuła troskliwość Szopena dla swej przyjaciółki. Fontana musiał przy pomocy portjera i jakiegoś pana Pelletana wszelkich dołożyć starań, aby pani Sand nie zaziębiła sobie nóżek.

„Ofiarowałeś mi — pisze Szopen — swoje usługi w urządzeniu mieszkania w rue Pigalle, lecz nie mogę z nich korzystać, gdyż nadużywałem już zbytnio Twej dobroci. Poproszę Cię tylko o to, abyś w poniedziałek o 2 godz. był w rue Pigalle; przyjdź cokolwiek wcześniej, aby zobaczyć, czy tam wszystko w porządku. Odwiedź Pelletana. Gdyby był zanadto zajęty (założył on bowiem nowe pismo), to uważaj sam, aby okna otworzono (jeśli nie będzie padał deszcz) i każ przedewszystkiem wywietrzyć pokoje pani Sand. Przedtem jednak należałoby rozniecić ogień w piecach... Wprzód musisz wejść w stosunki z Pelletanem; biedaczysko jest teraz zapewne strasznie zajęty swą gazetą i straci jeszcze przy tem głowę. Pomów z nim o jego piśmie; jestto człowiek bardzo dobry i bardzo inteligentny. Uczyń to wszystko tylko wtedy, jeśli Ci nie sprawi zbyt wiele trudu. Gdyby tak rzecz się miała — więc dobrze. Wtedy już „wszystko da się urządzić w ten lub ów sposób“, jak zwykłem często mawiać. Czas ucieka, świat idzie swoją drogą, śmierć jest tuż za nami i moje manuskrypty także. Ale nie troszcz się, mój drogi, wolę, aby mój nakładca w Lipsku czekał, niż miałbym się obawiać, aby w rue Pigalle „natrafiono“ na chłód, kurz i wilgoć. Co się tyczy mego pokoju, to nie dbaj nic o to, mniejsza także o moje łóżko, ja już to wszystko sam załatwię. Może będę Ci się mógł kiedyś odwzajemnić. T w o j a s t a r a ł y s i n a s p o t k a s i ę w i ę c w n e t z m o i m s t e r a n y m ł b e m — a w t e d y z a ś p i e w a m y s o b i e „v i v a t K r a k ó w“ w e d ł u g m e l o d j i B o g u s ł a w s k i e g o“.

Ustęp z innego listu brzmi: „Przysyłam Ci 100 fr. na rozmaite wydatki. Zakup mi na Faubourg Saint-Honore, mydło benzoe, dwie pary

szwedzkich rękawiczek (rękawiczkę dla miary znajdziesz w szafie), flaszkę patschuli i flaszkę „bouquet de Chantilly". W Palais Royal, po stronie, zwróconej ku teatrowi, znajduje się wielki sklep towarów galanteryjnych; zapytaj tam, czy można dostać małą rączkę z kości słoniowej do skrobania się po głowie. Przecieżeś ją już widział. Mała, biała, zakrzywiona rączka, umocowana na czarnej laseczce. Kup i wyszlij mi ją, jeśli kosztuje 10, 20, nawet i 30 fr. Niech Ci Pleyel da egzemplarz mych „Preludes", a u Schlesingera zabierz wszystkie moje „Etudes". Jeślibyś zobaczył u Sussego moje małe popiersie, zrobione przez Dantana — to zakup dwa i każ je dobrze zapakować. Na górze w szafie znajdziesz rezerwoar z blachy, owinięty flanelą; napełnia go się gorącą wodą i kładzie na brzuch. Wszystko to każ zapakować, dodaj do tego Kastnera (o „kontrapunkcie") i wyszlij pod moim adresem. Resztę pieniędzy zachowaj na późniejsze zakupy".

Fontana wysłał wszystko, jak należało, ale zapomniał o rezerwoarze, przez co dał Schopenowi powód, do narysowania tego ważnego przedmiotu w następnym liście. *(m)*

Z cyklu: „Z huculskich stron".

U SZCZYTU.

U szczytu jestem... na cichej polanie,
okrytej bujną trawą i kwiatami —
podemną jaru głąb, kędy szemranie
rzeczułki słyszysz, srebrzystej falami...

Gdzieniegdzie w jarze widzisz, rozrzucone,
huculskie, nikłe chatki, deską kryte,
w zacieniach gajów cicho utajone,
i łanki zboża, w kamieniska wryte,

i łąk zieloną ruń, majątek chłopa,
biegnącą w wyże, pod urwiste skały,
których, bez trwogi, nie dosięże stopa —

A na tych skałach szereg plamek biały —
to kozy... kędyś głos fujarki płacze...
powyż, w błękitach, kania, żądna deszczu, kracze...

Adam Stodor.

Wydawnictwa historyczne prof. Askenazego.

(BOJASIŃSKI: „Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem“. Maj — grudzień 1815).

Pisząc o pracach historycznych prof. Szymona Askenazego, zwracaliśmy uwagę na jego energiczne nawoływanie do zajęcia się zaniedbanemi u nas, a tak ważnemi dla naszego wykształcenia politycznego dziejami porozbiorowemi. Prof. Askenazy nie zadowalnia się tylko nawoływaniem do pracy w zakresie naszych dziejów nowożytnych, ale zabrał się do zorania tego nietkniętego dotąd przez umiejętne badania pola, czując jednak, że siły pojedynczego człowieka tu są niedostateczne, zorganizował pracę szeregu swoich uczniów i innych osób, pracujących na polu naukowem. Plon tej pracy zapowiada się obficie: kilkanaście historycznych monografij pisze się dla wydawnictwa prof. Askenazego, dwie prace już wyszły, a dwie są już ukończone do druku. Akademja nauk, rozporządzająca wielekroć większemi środkami od tych, jakie prof. A. uzyskał dla swych wydawnictw, z zazdrością może spoglądać na wydawnictwa prof. Askenazego.

Praca p. Bojasińskiego, stanowiąca pierwszy tom owych wydawnictw, zajmuje się okresem nader ważnym w dziejach naszych, przejściowym od Księstwa Warszawskiego do Królestwa Polskiego. Okres ten, rozpoczynający się od zajęcia Królestwa przez wojska rosyjskie, a kończący się nadaniem mu konstytucji w 1815 r., był dotąd niemal niezbadany. Monografja prof. Askenazego o Wielohorskim: „Pamiętniki Niemcewicza“ — oto niemal wszystko, cośmy mieli dla oświetlenia spraw tego okresu, rzucających światło na późniejsze wypadki Księstwa. Prof. Askenazy zwrócił już był uwagę na znaczenie organizacji armji polskiej, jako czynnika twórczego, który się w znacznej mierze przyczynił do powołania do życia Królestwa, zwracał też uwagę i na to, że rosyjscy mężowie stanu owych czasów, jak Łanskoj, W. ks. Konstanty i Nowosilców, już w 1814 roku stali na stanowisku późniejszego o pół wieku komitetu, urządzającego z 1864 r., tj. na stanowisku „objedinienija“. Praca p. Józefa Bojasińskiego przylega do prac prof. Askenazego i daje nowy materjał dla uzasadnienia powyżej wspomnianych poglądów tego ostatniego.

„Uchwałę kongresu wiedeńskiego wprowadzono w czyn. Z Księstwa Warszawskiego utworzono Królestwo Polskie. To, co miano wydać z niego Prusom i Austrji, wydano. Od ludności odebrano przysięgę na wierność nowemu panu. Ale owego węzła, który miał łączyć Królestwo z cesarstwem, jeszcze nie zdołano wykończyć. Ustawa jeszcze nie była gotowa, więc przedstawicielstwa narodowego jeszcze nie wprowadzono“.

Tak charakteryzuje p. Bojasiński nieokreślony stan, w jakim znajdowało się późniejsze Królestwo w maju 1815 roku. Dano tylko zadatek konstytucji: „Zasady“ tymczasowe. „Konstytucja przeznaczona dla was“—brzmiały słowa odezwy Aleksandra I. do narodu — „jest zastosowana do miejscowych potrzeb, do waszego charakteru, język pozostawiony do czynności publicznych, urzędy mogą być sprawowane jedynie przez Polaków, wolność słowa i handlu ułatwiona, znoszenie się z dawnemi częściami Polski, które zastaje pod obcymi rządami, uprzystępnione. Było to powtórzeniem tylko uchwał kongresowych.

Tymczasem fakty przeciw tym zapowiedziom gromadziły się.

Tymczasową administrację kraju Aleksander I. powierzył również Tymczasowej Radzie Stanu. Ową Radę stanowić mieli: 1) pięciu namiestników królewskich; 2) dwóch prezydujących w ministerjach; 3) sześciu radców stanu, wyznaczonych do kierowania ministerjum i 4) ośmiu referendarzy stanu.

Rada Stanu, jako taka, zgromadzona w komplecie najmniej siedmiu członków, z wyłączeniem namiestników, miała tylko głos doradczy w tych najważniejszych sprawach, w których namiestnicy, obdarzeni „wszelkiemi, z najwyższej władzy wypływającemi prawami“, obowiązani byli jej zdania wysłuchać, nie krępując się niem wszelako w swych uchwałach. Tak więc właściwie tymczasowe rządy w Królestwie spoczywały całko-

wicie w ręku namiestników. Otóż wśród namiestników widzimy, wbrew ogłoszonym zasadom, dwóch moskali: Łańskoj i Nowosilcow, z których pierwszy był prezesem rządu tymczasowego w Kielcach.

O tych pierwszych dygnitarzach rosyjskich w Warszawie, podaje p. Bojasiński następujące wiadomości:

„Prezes Łanskoj, trochę rubaszny, leniwy, dosyć usłużny, w gruncie rzeczy „niezły" człowiek, przez poprzednie dwa lata swych rządów nikogo sobie jawnie nie naraził, z wyjątkiem chyba księcia Łobanowa-Rostowskiego i Nowosilcowa, których kłół w oczy swem niezbyt surowem, w ich mniemaniu, postępowaniem. Uważano go w Księstwie za sympatycznego. Dom jego nęcił nawet niektórych; a wogóle uwierzono w jego dobre chęci dla kraju. On zaś do społeczeństwa, którem rządził tymczasowo, mało żywił ufności, mało również sympatji. Zostawienie Królestwu wojska polskiego przez cesarza Aleksandra na dobre zaniepokoiło Łanskoja. Usiłował, jako „syn ojczyzny", skłonić cesarza Aleksandra do naprawienia tej „nieopatrzności" i zapewnił cesarza, że na Polakach pod żadnym względem polegać niepodobna".

„Innym był pięćdziesięcioletni senator Nowosilcow Oprócz udziału w Radzie Najwyższej Tymczasowej Królestwa, stał on przez jakiś czas na czele komitetu nadzoru policyjnego, a później sprawował nadzór skarbowy. Starał się zawsze występować jako „przyjaciel Polaków", rządów konstytucyjnych i ustaw liberalnych, a jednocześnie słał memorjały sekretne do Petersburga, w których uskarżał się na miękkość Łanskoja i proponował jak najsurowsze urządzenie rosyjskiej nadzorczej policji w Królestwie" (str. 29).

„Rząd Tymczasowy zatrzymał nadal na czas pewien komitet wyższego nadzoru policyjnego. Komitet ten pozostawał pod bezpośredniem zwierzchnictwem Nowosilcowa, który prawdopodobnie wpływał na jego utworzenie, przedkładając cesarzowi Aleksandrowi potrzebę urządzenia sprężystego dozoru nad policją miejscową. Za zadanie oficjalnie miał on obowiązek baczenia na „utrzymanie porządku publicznego" i wszczynania śledztwa na podstawie denuncjacji, zanoszonych na poszczególne jednostki" (str. 78).

„W r. 1815 powiększono go o jeden oddział. Prócz „oddziału", Rząd Tymczasowy utworzył jeszcze jedną instytucję o charakterze wyjątkowym i policyjnym, złożoną wyłącznie z urzędników rosyjskich"

„Niezwłocznie po ogłoszeniu Królestwa, zniesiono urzędy „obłastnych" i „okrużnych" naczelników i część ich wyprawiono z powrotem, dawszy im sowite zaopatrzenie na drogę, część zaś pozostawiono w Królestwie na nowem stanowisku: urzędników cywilnych do szczególnych zleceń. Niektórzy z nich, za upoważnieniem prezesa Rządu Tymczasowego, mieli zasiadać w wydziałach policyjnych, a wszyscy bez wyjątku mogli być użyci do „umyślnych posyłek, gdzie wypadła potrzeba". Urzędników tych miało być w Warszawie 18 i czterech miało przebywać w Warszawie, pozostali po dwóch w każdym departamencie" (str. 79).

Kraj, skołatany niepewnością jutra, był od 1813 r. zniweczony materjalnie rekwizycjami wojennemi na rzecz wojsk okupacyjnych. P. Bojasiński podaje:

„Jeszcze przed ustanowieniem Rady Najwyższej, wkraczające do Księstwa wojsko zwycięskie było żywione kosztem kraju. Prefekci i podprefekci rozpisywali na powiaty i gminy furaż i żywność, które postępujące wojsko pobierało z magazynów, a często wprost od obywateli. W ten sam sposób żywiono wojsko i nadal po objęciu rządów przez Radę Najwyższą. Produkty pobierano na zasadzie taryfy, wydanej w Płocku przez generalnego intendanta Kankryna (6 lutego 1813) i zatwierdzonej następnie przez ks. Kutuzowa Smoleńskiego. Wartość wybranych w ten sposób produktów od dnia 1-go lutego 1813 do dnia 1-go maja 1814, wynosiła sumę złp. 72,382.986. Wystarczało to jednakże tylko na zapewnienie pierwszych potrzeb wojsk okupacyjnych. Dnia 12-go czerwca 1815 generał-gubernator Księstwa nakazał dostawę materjałów do budowy mostów pod Warszawą, Płockiem, Górą Kalwarją, Janowcem i Grochowem. 30-go czerwca zarządzono dostawę 400 koni w pełnej uprzęży. Władze departamentalne, ze względu na niezmierne wyniszczenie kraju, poczyniły wtedy przedłożenie o niemożebności znoszenia dalszych ciężarów. Wobec tego Łanskoj 4-go lipca oświadczył komisji nadzwyczajnej potrzeb wojska, iż „żadne tłumaczenia nie mogą mieć miejsca i wszelkie rekwizycje dopełnione być winny pod karą sądu wojennego". W sierpniu doszło do tego, że musiano antycypować pobór podatków na szereg lat następnych, podług norm, przepisanych przez ostatni sejm Księstwa. W ten sposób w niektórych departamentach poczyniono antycypacje aż do r. 1830. Wogóle zaś wszelkie dostawy, wybrane przez wojska rosyjskie w roku 1813 i czterech pierwszych miesiącach 1814, wynosiły sumę 157,928.176 złp." (str. 12).

Fakt ten jest bardzo znamienny, objaśnia bowiem niedomagania finansowe pierwszych lat istnienia Królestwa.

Wobec wyczerpania b. Księstwa przez rekwizycje na rzecz wojsk rosyjskich, niepodobieństwem było mu ponosić koszta na rzecz organizacji wojska polskiego. Tej organizacji domagał się Dąbrowski, gdyż widział w niej gwarancję samodzielniejszego bytu kraju. Samodzielnej organizacji sił zbrojnych polskich nie byli przychylni, jak już wspominaliśmy, moskale, zasiadający w Radzie Najwyższej; znacznemu ich pomnożeniu nie był życzliwy ks. Czartoryski, obawiając się zbytniego obciążenia kraju i będąc

dyplomatą starej szkoły, pokładającym nadzieje w dyplomacji, nawet nieopartej na siłach bojowych. Szczęściem, wobec niepewności horyzontu politycznego Europy, zmuszającej do uznawania olbrzymiej wagi bojowego pogotowia Polski, car Aleksander polecił swemu ministrowi finansów wypłacenie na rzecz wojska polskiego co miesiąc 2,127.420 złp., z zastrzeżeniem późniejszego zwrotu tych sum z dochodów Królestwa. Znaczniejsze jednak wydatki na rzecz wojska rosyjskiego poniosło w owym okresie tworzące się Królestwo, niż Rosja, na rzecz wojska polskiego. Jeszcze w 1828 r. była Rosja winna znaczną sumę skarbowi Królestwa, której nie wypłaciła wcale w późniejszym czasie.

Jako o charakterystycznej rzeczy, przejawiającej się też podczas całego trwania Królestwa Kongresowego, musimy wspomnieć skargi na dziką arbitralność i wtrącanie się do spraw po za jego kompetencją stojących naczelnego wodza wojsk polskich, W. ks. Konstantego.

Czytając książkę p. Bojasińskiego, widzimy, że już pierwsze chwile pożycia politycznego b. Księstwa z Rosją zapowiadały ciężkie późniejsze losy kraju.

Podaliśmy z książki p. Bojasińskiego niektóre charakterystyczne fakty, dane o przejściowym okresie z Księstwa i Królestwa, przyczem oczywiście nie mogliśmy jednak wyczerpać w całości materjału, skrzętnie zebranego przez autora. Szkoda tylko, że zniewolony on był ograniczyć się do archiwów warszawskich, a wobec niedostępności archiwów petersburgskich, nie mógł z nich korzystać; sądzimy, że wówczas knowania przeciwko samodzielności Królestwa unaoczniłyby się jeszcze bardziej.

Wł. Studnicki.



EMIL ZOLA.

Śmierć pani Guerard.

(Tłum. z francuskiego.)

Pani Guerard jest wdową, a mąż jej, którego utraciła przed ośmiu laty, był urzędnikiem. Należy ona do wyższych sfer mieszczańskich i posiada majątku 2 miljony. Ma też trzech synów, z których każdy po śmierci ojca otrzymał po 500.000 franków. Synowie ci jednak wśród tej surowej, zimnej i eleganckiej rodziny wzrośli, jak trzy dziczki z dziwnymi skłonnościami i popędami. W przeciągu kilku lat przeszastali zupełnie swoje 500.000 fr. Najstarszy, Karol zapalił się do mechaniki i na nadzwyczajne wynalazki wydał szalone pieniądze. Drugi Jerzy dał się wyzyskać płci pięknej. Trzeciego, Maurycego okradł przyjaciel, z którym chciał budować wielki teatr. Obecnie są wszyscy trzej ciężarem dla matki, która chętnie daje im mieszkanie i wikt, ale klucze od szaf trzyma przezornie przy sobie.

Całe to towarzystwo najmuje obszerne pomieszkanie przy ul. Turenne. Pani Guerard liczy już lat 68 i z wiekiem coraz więcej marudzi. W domu domaga się klasztornego spokoju i czystości. Jest przytem skąpa, liczy kawałki cukru, zamyka własnoręcznie nadpoczęte flaszki i wydaje sama bieliznę, tylko w miarę, jak tego koniecznie potrzeba. Synowie lubią ją bardzo i mimo ich 30 lat wieku oraz popełnionych głupstw, panuje matka nad nimi bez żadnych ograniczeń. Ilekroć jednak widzi się samą wśród tych trzech dużych chłopców, porywa ją zawsze niepokój; boi się żądania pieniędzy, któremu nie umie odmówić. Dlatego też ulokowała całe swoje kapitały w posiadłościach ziemskich; ma także trzy domy i grunt w Vincennes. Posiadłości te przysparzają jej bardzo wiele kłopotów, ale jest spokojną; znajduje w tem wymówki od dawania naraz większych kwot.

Karol, Jerzy i Maurycy wyzyskują ostatecznie dom matki, jak mogą. Mieszkają tu, sprzeczają się o wszystko i zarzucają sobie wzajemnie chci-

wość. Śmierć matki uczyni ich bogatymi na nowo; wiedzą o tem i to wystarcza im, aby czekać i nic nie robić. Nie mówią o tem nigdy, mimoto jednak mają jedną wspólną troskę: dowiedzieć się, jaki będzie podział majątku. Jeżeli się nie porozumią, trzeba będzie sprzedać posiadłości a toby było przecież nie korzystnem.

Pewnego wieczora zrobiło się pani Guerard po wstaniu od stołu niedobrze. Synowie skłaniają ją do tego, żeby się położyła do łóżka i zostawiają ją samą, gdy ich zapewniła, że czuje się lepiej i ma tylko silną migrenę. Nazajutrz jednak stan zdrowia staruszki się pogarsza, a lekarz domowy, zaniepokojony jej stanem, domaga się zwołania konsyljum. Okazuje się, że pani Guerard znajduje się w wielkiem niebezpieczeństwie i od tej chwili przez przeciąg całych ośmiu dni rozgrywa się dramat u jej łoża.

Pierwszą jej troską, skoro ujrzała się zamkniętą w jednym pokoju, było zabranie kluczy i schowanie ich pod poduszkę. Chce jeszcze z łóżka prowadzić rządy i chronić swoje szafy od rozkawałkowania. Rozgrywają się w niej wewnętrzne walki, szarpią ją wątpliwości. W końcu decyduje się. Wszyscy trzej synowie są obecni; patrzy na nich mętnemi oczyma i czeka na natchnienie. Aż pewnego dnia nabiera jakoś zaufania do Jerzego, daje mu znak, aby się zbliżył i mówi półgłosem.

„Masz tu klucz do kredensu; wyjm ztamtąd cukier. Zamkniesz dobrze i oddasz mi klucz.“

Męczarnią jest dla niej to, że nie może już czuwać nad wydatkami domowymi. W błagalnem jej spojrzeniu widać prośbę, żeby zaczekano, aż jej nie będzie z wypróżnieniem szuflad i podziałem majątku. Ten podział w jej obecności, byłby straszną torturą dla jej umierającego skąpstwa.

Tymczasem Karol, Jerzy i Maurycy zachowują się bardzo taktownie. Dzięki porozumieniu jeden z nich zawsze się przy niej znajduje. W miarę jednak zaniku sił, nieufność jej stwarza między nią a synami coraz to większą zaporę. Gdyby nawet nie myśleli o majątku, który mają odziedziczyć, naprowadziłaby ich na to sama swoim sposobem bronienia pieniędzy, aż do ostatniego tchnienia. Patrzy na nich z miną tak ostrą, z taką trwogą, że aż głowy odwracają. Ona przypuszcza, że czekają tylko na jej agonję; oni istotnie o tem myślą, gdyż na tę myśl naprowadza ich ustawiczne nieme pytanie jej spojrzeń. Ona budzi w nich żądze. Skoro tylko widzi, którego z nich stojącego z bladą twarzą i zadumą w oczach, mówi doń:

„Przybliż się; o czem myślisz?“

„O niczem matko“.

Jednak wzdrygnął się. Ona potrząsa głową i dodaje:

„Sprawiam wam wiele kłopotu moje dzieci, ale nie trapcie się, niezadługo już mnie nie stanie“.

Synowie przysięgają jej, że ją kochają, że ją uratują, ale ona odpowiada uporczywie, potrząsając głową: „Nie!“ i zatapia się coraz głębiej w nieufność. Jest to ohydna, pieniądzmi zatruta agonja. Trwa ona przez trzy tygodnie, wreszcie gaśnie ostatnia nadzieja; lekarz oświadcza, że pacjentka może umrzeć lada godzinę.

Pewnego ranka synowie myśląc, że matka śpi, stanęli przy oknie i rozmawiali o trudnościach, jakie właśnie zaszły. Oto jest dzień 15. lipca, w którym matka miała zwyczaj sama odbierać czynsze domowe. Obecnie synowie nie wiedzą, jak to mają załatwić. Portjerzy prosili już o instrukcje, ale w tem osłabieniu niepodobna jej zaprzątać interesami. Tymczasem w razie katastrofy, będą potrzebowali pieniędzy na niektóre osobiste wydatki.

„Mój Boże — mówił Karol — jeżeli sobie życzycie to pójdę do lokatorów: oni zrozumią położenie i zapłacą“.

Jerzemu i Maurycemu niepodoba się jednak to wyjście z sytuacyi; i oni stali się już nieufnymi.

„Możemy ci towarzyszyć — rzekł pierwszy — i my także mamy wydatki“.

„Przecież ja wam oddam pieniądze. Nie przypuszczacie chyba, żebym chciał umknąć z niemi“.

„Nie, ale będzie lepiej, jeżeli razem pójdziemy; to odpowiada porządkowi.“

I patrzą na siebie zło; w oczach ich błyska gniew podziału. Dziedzictwo leży przed nimi i każdy z nich chciałby dla siebie jak najwięcej zagarnąć. Karol mówi dalej i robi głośno uwagę, którą bracia jego wypowiadają zaledwie półgłosem.

„Słuchajcie, sprzedamy wszystko, to będzie najlepsze. Jeżeli dzisiaj zaczniemy się sprzeczać, to się jutro pozjadamy“.

W tej chwili słychać w drugim pokoju charczenie, które zniewala ich do odwrócenia głowy. Matka podniosła się na łóżku, drżąc na całem ciele, z twarzą pobladłą i błędnemi oczyma. Słyszała wszystko, więc wyciąga wychudłe ramiona i zdławionym głosem mówi:

„Moje dzieci, moje dzieci“.

Straszny kurcz rzuca ją na poduszki, nie dając dokończyć zdania; umiera z ohydną myślą, że synowie ją okradają.

Wszyscy trzej synowie z przestrachem padają na kolana przy łożu. Całują zmarłą po rękach i szlochając zamykają jej oczy. W tej chwili przychodzi im na myśl ich młodość; czują się tylko sierotami. Ale ta okropna śmierć, pozostanie dla nich na zawsze wyrzutem sumienia.

Ubrała nieboszczkę pokojówka, poczem zawołano zakonnicę dla czuwania przy zwłokach. Synowie krzątają się tymczasem z ogłoszeniem śmierci, zamawiają kartki pośmiertne i ustanawiają obrzęd pogrzebowy.

Na godzinę przed pogrzebem zbierają się ludzie na schodach. Sień wybito czarnem suknem ze srebrnemi frenzlami. Trumna spoczywa, jakby w kaplicy, otoczona świecami i pokryta wieńcami. Wchodzący biorą, położone u stóp katafalku kropidło, maczają je w kropielnicy i opryskują umarłą. O godzinie jedenastej kondukt rusza z miejsca. Synowie kroczą na czele żałobnej gromady. Za nimi widać urzędników, kilku wielkich przemysłowców i poważne obywatelstwo, postępujące wolno odmierzonemi krokami, podczas gdy gapie stojący na chodnikach rzucają na nich kose spojrzenia. Na końcu konduktu sunie się powoli sześć powozów.

Podczas pochodu wyrażają obecni swoje współczucie dla Karola, Jerzego i Maurycego, którzy we frakach i czarnych rękawiczkach kroczą za trumną z pospuszczanemi głowami. Nad wszystkiem panuje jedna opinja, że chowają matkę bardzo godnie; karawan ma trzeciej klasy. Publiczność oblicza, że koszta muszą wynosić kilka tysięcy franków. Pewien stary notarjusz, mówi z delikatnym uśmiechem:

„Gdyby pani Guerard sama sobie opłacała pogrzeb, oszczędziłaby sześć powozów“.

W kościele o wybitych kirem drzwiach, sam proboszcz błogosławi zwłoki i kropi je. Ci, którzy wchodzą do kościoła, widzą w nawie ustawionych szeregiem synów, przyjmujących uściśnienia ręki, jako wyrazy współczucia.

Grobowiec rodziny Guerardów znajdował się na cmentarzu „Père Lachaise“. Wielu poszło tam piechotą. Niektórzy wsiedli do powozów. Kondukt posuwa się ulicami, a mijający go przechodnie patrzą i uchylają kapeluszy. To pogrzeb bogaty, za którym oglądają się robotnicy, spożywając równocześnie swoją kiełbasę z kawałkiemi chleba.

Poza bramą cmentarza kondukt rusza na lewo i niebawem staje przed grobowcem; gotycką kaplicą, z wyżłobionym na fasadzie napisem „Rodzina Guerard“ i ołtarzem z jarzącemi świecami we środku.

Spuszczono trumnę. Ksiądz odmawia ostatnie modlitwy, podczas gdy grabarze czekają o kilka kroków. Synowie szlochają, patrząc na czarny otwór. W tym chłodnym cieniu i oni kiedyś spać będą. Przyjaciele odprowadzają ich za zbliżeniem się grabarzy.

We dwa dni potem kłócą się u notarjusza matki, z zaciśniętymi zębami i oschłem spojrzeniem, jak ludzie, którzy nie oddadzą sobie nawet centyma. W ich interesie byłoby zaczekać i nie przyspieszać sprzedaży dóbr. Ale oni teraz mówią już sobie prawdę w oczy. Karol przepuściłby wszystko na wynalazki, Jerzy musi mieć kochankę, która go skubie, a Maurycy uwikłałby się zapewne w jakąś szaloną spekulację. Nadaremnie stara się notarjusz doprowadzić do zgody. Rozchodzą się z groźbą sądu na ustach.

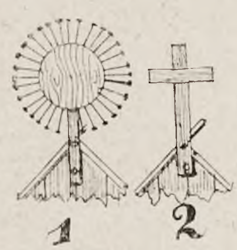
W nich samych budzi się zmarła z jej skąpstwem i trwogą przed okradzeniem. Ilekroć pieniądz zatruje śmierć, wynika z niej zawsze gniew; ludzie biją się nad trumnami.

20)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

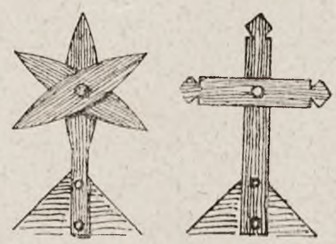
STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Ogromnie dla odrodzenia sztuki polskiej zasłużony pisarz, krytyk, artysta-malarz i badacz, p. Stanisław Witkiewicz, potwierdził mój domysł o kultowej roli przyczółka, opowiadając, że cieśle i górale podniesienie szczytu i ustawienie jego uważają prawie za obrzęd religijny, przy którym, jak przy nabożeństwie, zdejmuje się czapki. Na Pokuciu i Huculszczyźnie spotykałem „słońce i słonecznik“, jako dwa bliźniacze formą przedstawienia i nazwą pojęcia, również na czole budynków. — Zaś w Samborskiem i w Drohobyckiem, rzadziej już na Pokuciu, zjawia się na szczytach dachów okrągła deszczułka, gwoździami, niby słońce promieniami, nabita, do której cieśle tamtejsi zabobonną wiarę przywiązują. Podobne zupełnie słońce, przez uczonego Virchowa omawiane, trafia się często, hen, aż w Prusiech wschodnich (Wiz. 8, obr. 1). „Słońce“ z okolic Drohobycza jest jednak tem ciekawsze, że według wzoru częstego, jaki jeszcze przy okresie leśnej kultury omawiać będziemy, łączy się w parę z wyobrażeniem krzyża. Według znanego przysłowia: „Bogu świeczkę i djabłu niedopałek“, dzieli miejsce powierzonej swojej opiece chaty chrześciański znak krzyża z pogańskim symbolem Słońca-Światłowida. Nieinaczej jest i w Prusiech wschodnich, gdzie również obok wizerunku słońca, albo księżyca (Wiz. 8, Obr. 1, 2, 3, 4), widnieje znak krzyża. Również gwiazda wieczorna i poranna („Morgenstern“, jak ją nazywa Virchow), trafia się tam, jak i w okolicach Krakowa. — W Stróżu, niedaleko Nowego Sącza.



WIZERUNEK 9.
Słońce i krzyż ze szczytów tejże samej chaty z okolic Drohobycza. (Zdjęcie autora).

znalazłem również obok złączone zestawienie „słońca“ i krzyża na dwu przyczółkach u tej samej chaty. Słońce tu całym swoim wyglądem niezmiernie się zbliża do tej sześciopromiennej gwiazdy, wyciętej na powale u sosrębu wprost nad ogniskiem u środka chaty. Byłby więc w tem jeszcze jeden, ze zdobnictwa wzięty, dowód na wypowiedziane przypuszczenie, że pierwiastek słońca i ogniska, światła i ciepła, złączony we wierzeniach, zespala się i w wyobrażeniu zdobniczem. Podobne znaki istniały najprawdopodobniej na szczytach „Tyna-Światła“, domu boskiego, którego nazwa, dziś na „Świątynię“ przekształcona, w nazwie i obrazie „Świat“ zawarta, mimo to nie zatarła swego pochodzenia. W najdawniejszych czasach „Świątynia“ była po prostu ogrodzonem miejscem „świętem, światłym-Tynem“. — Według p. Romera („Wisła“, tom II, str.



WIZERUNEK 10.
Słońce (gwiazda sześciopromienna) i krzyż ze Stróża pod Nowym Sączem, również z przyczółków tej samej chaty. (Zdjęcie autora).

843), u Żmudzinów do dziś „płot, układany ze szczepanych palików, nazywa się „tyn, tynnica, tynnik“. — Hellmold opowiada (Ks. 83) że „przy nawróceniu Przybysława natrafili na gaj święty. Część tego gaju otaczał bardzo troskliwie zbudowany „Tyn“, w którym znajdowało się dwoje wrót“. Na wyróżnionem miejscu spotykamy w izbie góralskiej i huculskiej okrągły utwór ornamentacyjny. Miejsce jego u *samego środka izby na „sosrębie“*, wprost znaku na podłodze, gdzie przedtem *znajdowało się ognisko* w *dawnych, namiotowych czasach*, już tem samem wskazuje na niezwykłe jego znaczenie. Or-

nament ten, spotykany na ziemiach całej zachodnio-północnej Słowiańszczyznie, zasługuje na jak najszczegółowsze badania. Dzieli on jednak dzisiejszą swoją postacią los wszystkich mytów, które kolejno po sobie królowały. Starsze i nowsze warstwy w światopoglądach plączą się nietylko w „podaniach ludowych“, ale i w wizerunkach zdobniczych. — Według Mannhardta: „Die lettischen Sonnemythen“ („Zeitschrift für Ethnologie“), „przedstawiano słońce jako koło, z czego się rozwinęło bóstwo, w konie zaprzężone. Przedstawienie to wraca w wielu słowiańskich baśniach. Słońce przejawia się w ten sposób, raz jako koń, raz jako wóz“. — W zagadce ukraińskiej, już przytaczanej, słońce znowu „jest drzewem, które do każdej chaty zagląda“.

Tak więc i rozbiór powyższego ornamentu musi dotykać „okrągłego ogniska, słońca, koła i drzewa“, a więc rozpatrywanie jego odpowiednio rozłożyć należy. Na tem miejscu weźmiemy na uwagę, jako pierwotniejsze, ale kształtem pokrewne zdobienie, „koło“, jakie bardzo często trafia się na urnach starosłowiańskich, z budowli palowych, lub z grobów z epoki żelaznej zachowanych. Zwrócił na nie uwagę po raz pierwszy prof. Virchow jeszcze w roku 1871. — Na dnie zewnętrznem garnków, na środkowej ich części niejako, umieszczali starzy Słowianie, mieszkający między Elbą a Wisłą, krzyż, w koło wpisany. „Garnki takie znaleziono przy wielkiem, palowem mieszkaniu w Daber, przy palowem mieszkaniu w Soldańskiem jeziorze i w jeziorze Persyńskiem. Formy koła z jeziora Dąbrowskiego (Dabersee) znajdują się prawie zupełnie podobne na dnach urn z budowli palowej w Lac du Bourget, w Sabaudji. — Podobne krzyże, w koło wpisane, znajdują się w palowych „Terramare“ parmeńskich, ale są o tysiąc lat wcześniejsze“. (Virchow. „Verhandlungen d. Zeitschrift für Ethn.“, 1871, str. 93).

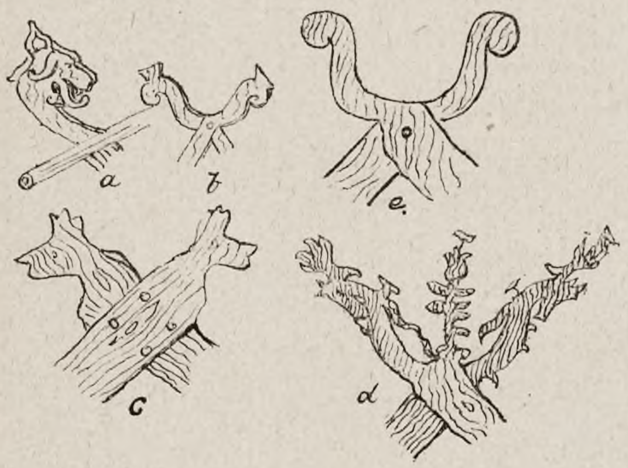
W dwa lat później okazało się, według słów tego samego prof. Virchowa, że „urny z pod Ołomuńca zgadzają się zupełnie z naszemi, a co dziwne, że i tam dno garnka zdobi pięciopalczasty krzyż w kole. O obfitości tych znaków w pomorskich budowlach, na odpowiadających Pomorzu wyspach, mówiłem na posiedzeniu z dnia 10. grudnia 1870 r.“

Wystarczy dalej przejrzeć monety, tak zwane wendyjskie i nasze najstarsze Piastowskie (Strończyński: „Monety Piastów“), jakoteż znaki na przedmiotach na Podhalu, w drzewie ciętych, aby również znaleźć tam krzyże, w koło wpisane, z mniejszemi kółkami, często w ćwiartkach. Stosując zdanie angielskich ludoznawców, Holdena i Mallery'ego, brzmiące: „między rysunkami na naczyniach a kultem plemienia istnieje ścisły związek“, musimy przyjąć jakiś szczególny łącznik między krzyżem, w koło wpisanym, cztero- lub pięciopalczastym, a wierzeniami naszych przodków. Najpewniej oznaczało owe koło u wozu, o czterech lub pięciu palcach, wóz słoneczny i słońce czterotwarzowe, ku czterem stronom świata zwrócone. Dowodzi tego powszechność i starożytność ornamentu, niewątpliwie początkiem swoim stepowej kultury sięgająca. W tomie II-gim, na stronie 76, w „Zbiorze wiadomości“, do antropologji krajowej jest oddany rysunek kociołka przedhistorycznego, znalezionego na ziemiach polskich, gdzie jest, obok konia, z wyraźnie narysowaną grzywą, koło słoneczne promieniste, z zaznaczonym punktem środkowym, wielokrotnie w pasie obwodowym powtórzone“. Natomiast w stronę wozu słonecznego, w myśl wywodów Mannhardta, wskazuje rysunek wozu, w dwa konie zaprzężonego, z dyszlem widłowym a jeźdźcem konnym na przedzie, umieszczony na urnie w Darslohe, z Prus wschodnich. Koła u tego wozu mają również tylko cztery palce („Zeitschrift für Ethnol.“ XIV. str. 532). Równie bliskim jest związek tego „słoneczka“ i koła u wozu ze swastyką, ornamentem ogólno- „indo-aryjskim“, o którym mówił szeroko p. Żmigrodzki na kongresie etnologów w Paryżu, a pisał w „Wiśle“. Powszechność tego ornamentu jest istotnie zdumiewającą. Wszędzie jest krzyż ze strzałkami obrotowemi, od ręki lewej ku prawej wskazującemi (odwrotnie, jak na rysunku wiz. 7-go, ryc. 8 i 9), to znaczy w odwrotnym kierunku wskazówki zegarowej. Jest to kierunek, jaki ma koło u wozu, naprzód od ręki lewej ku prawej się poruszającego i oznaczałby może w ten sposób drogę ku zachodowi, w jakim szły plemiona indo-aryjskie w Europie i byłby znakiem stanniczym wędrownych, od Azji ku Europie dążących plemion. Na urnach starosłowiańskich i na pieniądzach wendyjskich i staropiastowych i przedmiotach Podhalan, spotyka się też „swastykę“, znamię ogólne rodowe Arjów, które potem, wedle p. Żmigrodzkiego, u osiedleńców europejskich, po odłamaniu niepotrzebnych już wskazówek, strzałek, jako znaków wę-

drownych, przemieniło się na symbol świata chrześciańskiego: k r z y ż, nawet już w czasach przedchrześciańskich.

Do wędrówki Arjów odnieść też należy ważny szczegół zdobniczo-pomnikowy, jakim są tak zwane „baby“, rozsiane na równinach Sarmacji półstepowej. Wyobrażenie to, niby ludzi, nibyto słupów przydrożnych, sięga u nas po Kalisz, a wiąże się z podobnymi zabytkami Azji zachodniej, a głównie Turanu. „N a w e t o r n a m e n t g w i a z d y, l u b p r o m i e n i a, p r z y w o d z ą c y n a m y ś l Z o r o a s t r o w ą c z e ś ć o g n i a, w i e l c e r o z p o w s z e c h n i o n ą u M o n g o ł ó w, przed przyjęciem u nich Buddyzmu“ „a widniejący nad kubkami niektórych bab, dowodziłby prawdy przypuszczenia, że pomiędzy Azją zachodnią a ludami europejskimi dziś, zachodzi związek ściślejszy, niż przypuszczają“. (M. Sokołowski. „Ruiny na Ostrowie w Lednicy“. Pam. Akad. Um. Tom III. Str. 195). Pewne światło na znaczenie tych „bab“, rzucają pomniki z drzewa na niektórych cmentarzach litewskich, gdzie również pomnik jest jednocześnie to jakby figurą człowieka, to jakby słupem przydrożnym (Bauernhaus, Ostpreussen). Związek ten jest jasny, jeśli uwzględnimy cały sposób pozostawiania zwłok, znaczących niejako swoimi kośćmi drogę, na stepie przebytą. Może te „baby“ oznaczały miejsca „leż zimowych“, kiedy „śmierć-baba-śmiertnica“ kosiła gęsto, chodząc od namiotu do namiotu stepowca. Że „drogi, słupy przydrożne i zwłok chowanie“ jeszcze w historycznych czasach w pojęciach niektórych Słowian się łączyło w jeden obraz, świadczy ustęp ciekawy z kroniki Nestora („Mon. Pol.“ I., str. 559). „Radymicze, Wetyczanie i Siewierzanie żyli po lasach, stadeł u nich nie bywało, jedno igrzyska między siołami. A gdy kto umarł, wyprawiali mu tryznę, potem ułożyli stos wielki, położyli umarłego na stos i spalili, zebrawszy potem kości, włożyli je w naczynie (postawiach na stołpie na piątech) i „z o s t a w i a l i n a s ł u p i e p r z y d r o g a c h“. Widać z tego, że jeszcze w czasach ciałopalnych istniało stare przyzwyczajenie zostawiania, na wzór Parsów, „ścierwa“ po drogach stepowych, wprawdzie tylko jako obrzędu pogrzebowego. Że palenie zwłok jest już europejskiem, na obfitości materjału palnego opartem zjawiskiem, wskazywałby też pewien szczegół starożytny i dziejowy, na który mniej zwracano uwagi. Wiadomo już z rozdziału: „Europa przedhistoryczna“, że gatunek świni torfowej należy do najstarszych domowych zwierząt europejskich, które, na skutek domowego chowu w przedhistorycznych czasach, już pewnym zmianom w mieszkaniach p a l o w y c h uległo. Dla tubylców europejskich błotne, wszystko-żerne, łatwotuczne zwierzę, jakiem jest świnia, było zapewne tem, czem koń dla stepowca, to jest czczonem, jako ś w i ę t e, z w i e r z ę c i e m. Pierwiastek „nieznanego pochodzenia“, jakiem jest „Sow“, Sowija, Sowica (*Sensus ignotus,* według Miklosicza, znaczenie nieznajome), a łączący się z brzmieniem: świat, świa(tło), świę(ty), świ(nia), wskazuje na pewną cześć dla świni. Ślad jej wyraźnie istnieje u L i t w i n ó w, którzy, według kronikarzy, uważali z a b i j a n i e ś w i ń j a k o ś w i ę t o, a według Tacyta, głowę świni za symbol rodowy. Najważniejszą wiadomością jednak jest to, że, według ruskiego objaśniacza, przekładu Jana Malali, „ten, który na lądzie europejskim nauczył Litwinów palenia ciał, nazywał się „S o w i a“, a składał, jako ofiarę, 9 pieczonych śledzion ze ś w i n i“ (Mierzyński. „Źród. do mit. litew.“ I. 20). Widać w tej opowieści rzeczowy łącznik w t r e ś c i i b r z m i e n i u. Między czasem osiedlenia się stałego, p r z y s w o j e n i a s o b i e ś w i n i (że świnia była najczęstszem, oswojonem zwierzęciem, wskazuje wyraz o s w a j a ć, swoić, swoja, świnia) i palenia zwłok, istnieje najściślejszy, czasowy związek.

Ustęp Nestora, wyżej przytoczony, wyjaśnia natomiast znaczenie: stołpów, słupów przydroż-



WIZERUNEK 11.

a) Głowica końska namiotu Wikingów; b) Konie na chacie łużyckiej („Wisła“); c) Śparogi z pod Krowodrzy, pod Krakowem (Wawrzeniecki. „Wisła“); d) Śparogi (łoś lub jeleń) z Litwy pruskiej („Bauernhaus, Ostpreussen“); e) Śparogi z kurpiowskiej chaty („Wisła“).

nych, którymi bez wątpienia są wszystkie, od Turanu aż po Kalisz sięgające „baby“ kamienne. „Stołpy“ te, to są niejako znaki przydrożne dla poszczególnych części gromady plemiennej, ze względu na rzadką trawę stepową i na wielką ilość stad, po szerokiej przestrzeni rozsianych, tak ustawione, aby wskazywały rozproszonym krewniakom drogę i kierunek pochodu, a może miejsce przezimowania i jednocześnie grobu dla zmarłych, w czasie wielkiej, zimowej śmiertelności“. To wszystko da się wywnioskować ze zwyczaju Radymiczan, zanotowanego przez Nestora. Na drodze europejskiej, już przy zetknięciu się z „lasem“, powstał zapewne wóz, z drzewa urobiony, a Tacyt pisze o Słowianach, w II-gim wieku po Chrystusie, że „niektóre z wielu rodów Sarmackich na wozie, w konie zaprzężonym, żywot przepędzają“ (Tacyt. „Germania“, c. 46). — Mówiliśmy już przedtem o węźle obrazowym, jaki łączy konia, najcenniejsze na stepie zwierzę, ze słońcem, światłem i ogniem. „W pieśniach łotewskich“ liczne czytamy o tem wzmianki. Słońce ma dwa złote (gniade) konie (Ulmann. „Lett. Volksl.“ 455). „Dwa wspaniałe, złote konie wiozą słońce przez bramę“ (Ulm. 463). „Słońce, siedząc na górze i w ręku trzymając złote lejce, kąpie swe konie w morzu. Każdy bóg ma wspaniałego konia. Siwe konie chowano u wielu narodów wśród ogrodzenia świątyni, jak to było naprzykład w Skandynawji“ („Grimm. Deut. Mit.“ II. 623). O poszanowaniu koni, poświęconych bogom, mówi Tacyt („Germ.“ 10). Jest on zewnętrznym znakiem Światłowida, Zwierzowieca, Radogosta. Widzimy go w tej roli na słynnym posągu Światłowida (Światowita) czterotwarzowego, ze Zbrucza wyłowionego. Również na kamieniach Mikorzyńskich, znalezionych pod Krotoszynem w roku 1855 i 1856, widnieje obraz konia, a obok nierozłączny z nim obraz człowieka. Podobnie jedna urna z Pomorza mą na sobie wizerunek „człowieka i konia“ (Virchow. „Zeitschrift für Ethnol.“ V. IX. 30). Znaleziona koło Szamotuł urna, obecnie w muzeum w Poznaniu, nosi również rysunek konia na sobie. Znamienne wyjaśnienie ze strony Goriajewa o związku dźwiękowym i obrazowym między „koniem i końcem“, znajdzie szerokie zastosowanie, w wielkiej liczbie zabytków starożytnych i w zdobieniu ludowem przechowanych. W Mallmitz, na Śląsku, blisko miejsca, gdzie w Ilwie, w r. 1000, król Bolesław Chrobry przyjmował cesarza Ottona III-go, pielgrzymującego do Gniezna, znaleziono rękojeść o podwójnej parze głów końskich, ozdobionych „wilczymi zębami“ („Zeitschr. f. Ethnol.“ IX. 24). Niezmiernie zaś liczne są jeszcze ślady czci konia, przechowane po chatach chłopskich Polski i Litwy, w postaci zakończeń, czyli tak zwanych „śparogów“. Są to zdobienia, które po raz pierwszy spotkano na urnie domkowej przedhistorycznej, okrągłej, namiot wyobrażającej („Zeit. f. Ethnol.“ Ver. 328).

C. d. n. *Kazimierz Mokłowski.*

EMMA JELEŃSKA

11)

Z MIŁOŚCI.

Bardzo intratne i obszerne interesa rodziny Z., któremi się zajmował od lat kilku, zostały mu raptem, bez widocznej przyczyny odjęte i oddane komu innemu. Za dzieło jego „O prawie sukcessyjnem“, już ukończone, wydawcy dawali tak śmiesznie małe ceny, że zdecydować się na nie nie mógł. A teraz ta bieda z bankiem! i wogóle z tym całym budowlanym interesem. Już to nieszczególne miał natchnienie, gdy wszedł w tę nieszczęsną spółkę. Tak długo się wahał, tak długo się namyślał! Aż nakoniec nadzieja większych zysków przemogła i posagowe pieniądze Wandy

z banku wyjął i w to umieścił. A teraz strata była prawdopodobna, a w każdym razie, dochody na lat kilka zmniejszone. I to właśnie wtedy, gdy potrzeby wzrastały. Nigdy sobie tej pomyłki nie daruje.

Tak dobrze pamiętał tę chwilę wahania. Nie miał ochoty do tego interesu, ale po gruntownem zdawało się zbadaniu, doszedł do przekonania, że interes dobry. Pomylił się — przecież niejednemu to się zdarza. Dla niej to zrobił, dla jej zdrowia, które wymagało kuracji, dla dostarczenia jej tych wygód, do których przywykła. Dla niej także pracował tak usilnie, bez wytchnienia. Dla niej pragnął tych pieniędzy, bo nie mógł na to pozwolić, aby ona poczuła jakikolwiek brak w życiu, aby ona musiała się liczyć i ograniczać i oszczędzać. Sam gotów był obchodzić się bez wielu rzeczy. Ale ona? Ona powinna mieć wszystko, czego zapotrzebuje, czego zapragnie.

A teraz co będzie? Teraz muszą się ograniczyć i wydatki swe zmniejszyć. Ale jak jej to powiedzieć! Oto przed kilku tygodniami, gdy była mowa o wycieczce do Warszawy, odmówić jej musiał takiej niewinnej przyjemności. I odmówił! Ale jak mu to ciężko przyszło?

A teraz, dalej — co będzie! co będzie?

Zapalił papierosa nad lampą. Wyciągnął się w fotelu i głowę oparł o poręcz. Przymknął oczy. Cisza dokoła była mu ulgą. Ale tylko przez chwilę. Bo wkrótce z tej ciszy wyłaniać się zaczęła troska, niepokój, żal i znużenie — i jakiś tępy, niewyraźny ból na dnie duszy. Troska o byt, o chleb, o polegające na nim przeróżne istnienia, przeróżne swoje i cudze sprawy — troska o tę, którą sobie wziął i którą był obowiązany bronić od wszelakiej biedy. Niepokój, targający mu wnętrzności, ściskający pierś, stawiał przed nim straszne wizje przyszłości. Żal za utraconym groszem, za zmarnowaną pracą, za tem co być mogło, a przepadło — żal do losu, że go skrzywdził i był niesprawiedliwy. Gdyby hulał, gdyby próżnował, gdyby był niedołęgą, lub chociażby egoistą — to jeszcze... Ale pracował dzielnie, umiejętnie, sobie odmawiał wszystkiego, całą myśl i siły oddawał na służbę innym — był zdolny, wytrwały, uczciwy, zawsze pierwszy w każdej dobrej sprawie. I za to cóż miał w nagrodę?

Tu ów, tępy, niewyraźny ból, tkwiący na dnie duszy, wzniósł się. Coś się tam poruszyło, jakby nagle obudzone zwierzątko — i gryźć go silniej poczęło.

Cóż miał w nagrodę? Wszakże nie pragnął dla siebie niczego nadzwyczajnego. Nie dbał o pochwały, ani o sławę, ani o ludzkie sądy, ani o piękne ludzkie słówka. Chciał słusznej ze swej pracy korzyści i słusznej od żony miłości. Oto wszystko, czego dla siebie chciał w życiu. A teraz praca szła na marne. A żona...?

Ból na dnie duszy ugryzł go tak silnie, że przez chwilę zmąciły mu się myśli.

Cóż żona? Czyż go Wanda nie kochała? Czyż nie byli z sobą szczęśliwi? Ona mu była zawsze najdroższą... A on dla niej? Boże! Boże! Zkądże ta wątpliwość? Wszak wiedział dobrze, że i ona go kocha całem swem, zacnem, gorącem sercem — miał na to ciągłe dowody. Wszak dwa i pół lata ich pożycia przeszły im szczęśliwie, bez najmniejszej rozterki, bez zwykłych nawet w innych małżeństwach kłótni, zgodnie, cicho. Ona miała taką szlachetną, szczerą naturę, trochę czasem egzaltowana, trochę błądząca po obłokach — ale w życiu taka łatwa, taka skłonna do ustępstw, takiego przyjemnego charakteru! I bez tych wszystkich małostkowych ambicji, i bez tych przyczepek, i bez obraźliwości, wstrętnej u tylu kobiet! Próbowała wprawdzie z początku mięszać się w nieswoje rzeczy — ale bardzo prędko spostrzegła niewłaściwość i śmieszność tych kobiecych pretensji i od dawna już umiała się ograniczyć i pozostać w swojej sferze. Czy mogła być milsza i lepsza towarzyszka życia! A taka przytem coraz śliczniejsza, coraz piękniej się rozwijająca się w dojrzały kwiat! Taka czarowna!

Tylko że... temi czasy... jakiś chłód wiał od niej. Nic określonego, nic takiego, coby można słowami wyrazić — o nie! Ale niedostrzegalne prawie obniżenie się temperatury, jakieś zesztywnienie — jakaś martwota. W postępowaniu swem była taż sama, co i dawniej: pełna uprzejmości i dbałości, łatwa, zgadzająca się na wszystko. Nawet może bardziej niż dawniej była teraz łatwa i zgodna — jak gdyby obojętna. Czasem wydawać się mogło, że czynności swe wypełnia mechanicznie, a duszą gdzieś goni daleko. Czasem widocznie przymuszała się do uśmiechu, ale w oczach miała coś, jakby niewylane łzy.

Czyżby jej czego brakowało? Ale, w takim razie, czemużby nie mówiła tego wyraźnie? E, nie! Było to urojenie — tylko urojenie. - Zmę-

czony jestem — pomyślał Karol — i nerwy moje zaczynają się rozstrajać pod wpływem tych wszystkich bied, tak że wynajduję sobie dobrowolnie jakieś nieszczęścia. Gdybym choć przez dwa tygodnie mógł wypocząć! zaraz wszystko inaczejbym sądził. — Ale nie o odpoczynku, a o usilnej, coraz usilniejszej pracy należało myśleć, o przezwyciężaniu trudności, o zwalczeniu przeciwieństw i o borykaniu się ze złym losem, który czyhał na niego.

I znowu troska o chleb, o byt, troska brzydka i szara wyłoniła się z ciszy, panującej dokoła i usiadła mu na piersiach.

Wstał i zaczął chodzić po gabinecie. Bronić się chciał. Ale ona szła za nim krok w krok i brała go w objęcia, i wieszała się na jego szyi. Pod jego czaszką zaczęły się przewalać coraz to większe, coraz to czarniejsze myśli, a każda, odchodząc, ugryzła go w serce i bolący po sobie zostawiła ślad.

Nagle dzwonek zadźwięczał w przedpokoju. Wanda wracała. Karol rzucił się ku niej. Zdało mu się, iż ona ze sobą przynosi ukojenie i pociechę. Przy niej będzie mu dobrze — przy niej odpocznie choć przez chwilę. O, wszystko jej wyznać, prawdę całą powiedzieć i niech go ona pocieszy. Niech mu te swoje białe ręce położy na czole i mówi do niego dobremi słowami.

Ale jeśli się zasmuci, jeśli bardzo weźmie do serca niepowodzenie — i zacznie się troszczyć i niepokoić? — Nie, nie! Nie szukać własnego spokoju, ale jej spokój szanować był obowiązany, nie szukać dla siebie pociechy, ale ją chronić od zmartwień, od biedy, od złej doli. Ona o niczem wiedzieć nie powinna. Niech do niej troska nie ma przystępu, niech jej żaden niepokój nie dręczy. Jakimże byłby mężczyzną, gdyby nie zdołał sam udźwignąć ciężaru życia, a narzucał go jej na plecy — jej, tej wątłej istocie, tej słabej kobiecie, którą wspierać i prowadzić powinien. Jakimże byłby mężem! Nie, ona o niczem się nie dowie, niczego jej nie zabraknie — nic jej ujętem nie będzie. Nie, nie!

Ale grać komedję spokoju, zadowolenia. Boże, co za męka!

W przedpokoju rozległy się kroki, głos Wandy mówiącej do Franciszka — potem w salonie brzęk zapalanej lampy.

„Ach, nie widzieć jej, nie potrzebować z nią mówić!“ westchnął Karol, i w sercu jego zbudził się żal do niej. Po co ona tu była, taka obca wszystkiemu, co on przenosił, taka obojętna, taka nietykalna na tym ołtarzu, na którym ją postawił, taka daleka teraz od niego — teraz gdy mu było ciężko. Po co ona tu była? Czem była dla niego? „Ach, te kobiety, szepnął gniewnie — wszystkie one są egoistki!“ Ach, uciec, gdzieś daleko, gdzie słońce świeci i kwiaty pachną, gdzie troska niema przystępu — uciec od wszystkich, od wszystkiego — i od niej — i odpocząć...

Gdy się spotkali przy herbatnim stole, on był zupełnie spokojny. Miał codzienną swą twarz poważną i trochę surową, ale żadnego frasunku widać po nim nie było. Ona zaś wróciła z fife o'clocku od Znajeckiej ożywiona, bardzo ładna w ciemno-czerwonym stroju sukiennym, od którego nabierała blasku jej smagła cera. Zastała tam liczne i wesołe towarzystwo, a wśród wielu innych, dwóch dobrych znajomych z warszawskiego kółka Julki — literata Jelickiego i malarza Ekierta, i to spotkanie wprawiło ją w doskonały humor.

— Ekiert przybył tu w sprawie jakichś kościelnych robót — rzekła — więc pewien czas zabawi. Jutro będzie u nas — poznasz go. Nie masz pojęcia, jaki on przyjemny — i Jelicki także. Tacy obaj inni od tutejszych ludzi!

— I przez to tacy przyjemni?

O, nietylko przez to. Naprawdę przyjemni. Otóż, korzystając z ich pobytu, możeby urządzić jakie zebranie? Chciałabym ich przyjąć. Może we czwartek? Dobrze?

On nie odrzekł nic, a ona mówiła dalej:

— Możnaby prosić Miłkowiczów, Lutyńskich naturalnie Znajeckich, Rucza, Husłę, dwa, cztery, sześć, dziesięć — my, to dwanaście — a jeszcze państwa Wrońskich z córkami — tak mniej więcej dwadzieścia osób. I dać kolację zimną, stojącą, to o wiele weselej. Najlepiej we czwartek, bo to mięsny dzień — a do Niedzieli za długo czekać, mógłby który z nich wyjechać...

Zaczęła coś sobie obliczać. A on myślał z żalem: Ot, co ją zajmuje. Mnie tu tak ciężko — a ona tylko wymyśla nowe wydatki. Wprawdzie ona nic nie wie — ale zawsze — mogłaby mi okazać choć trochę względności... I wielka gorycz podnosiła się w nim.

A ona skończyła układanie swojego projektu, odsunęła gazetę, na której coś spisywała — i podniosła głowę. Chciała coś wesołego powie-

dzieć, bo uśmiech miała na ustach, ale nagle coś ją tknęło, coś w jego wzroku ją przeraziło — i urwała zaczęte słowo, a na twarz jej zaczął występować przestrach, zdziwienie, niepokój, i rozsunięte w uśmiechu jej usta zaczęły się zsuwać, zsuwać — aż się zamknęły smutnem zagięciem. I zrobiła się cisza.

Siedzieli oboje, pochyleni nad swemi szklankami, i czuli, że się coś nad niemi unosi, że odejść nie chce, i że tem trzeciem była szara, brzydka troska.

Wtem, ona z miejsca się ruszyła. Stała chwilę niepewna, aż przy nim na podłodze uklękła i objęła go ramionami. I mówić zaczęła prędko, serdecznie, gorąco: „Karolu, mój najdroższy, co ci jest? — powiedz mi, co ci jest? — Ja widzę, że ty masz jakiś smutek, czy co, tylko nie chcesz powiedzieć. A to najgorzej, bo zawsze lepiej wszystko wyznać — przecież żona jest od tego, prawda? No, powiedz! Może co się stało... jakie nieszczęście? Może masz jaką przykrość? Może jakieś pieniądze straciłeś? Chory jesteś? Zobaczysz, jak mi powiesz, zaraz lepiej ci będzie. Ja przecie wszystko gotowam dzielić z tobą — wszystko! I mnie zawsze lepiej wiedzieć, choćby najgorsze rzeczy. Nie myśl, że jestem takie słabe stworzenie, co to oszczędzać trzeba. Ja wszystko znieść potrafię“.

Tuliła się do niego, obejmowała go i starała mu się w oczy zajrzeć. Ale on choć mu się w duszy trochę zaczynało topnieć — bronił się. Ale nie, nie! Wyobrażasz sobie. Nic mi nie jest. Cóżby miało być?

— Kiedy ja wiem, że coś masz na sercu, ja czuję, że coś jest. Nie od dziś to widzę — coś cię trapi. Pewnie coś pieniężnego. Powiedz!

Przez myśl jemu przemknęło: powiedzieć wszystko! Mocniej ją przycisnął do siebie. Ale nie! Pocóż przetwarzać to wesołe, niefrasobliwe stworzenie w kobietę stroskaną, liczącą grosze, medytującą nad pieniężnemi spekulacjami. O, nie! za nic w świecie! Taka, jak jest, jest mu skarbem najmilszym i niech mu już tam będzie trochę ciężej, byle ona taką pozostała. Więc zaczął się wypierać i kłamać, że jest spokojny, zadowolony, i że wszystko w porządku, że może trochę zmęczony, ale bynajmniej nie smutny.

A ona słuchała w milczeniu, z głową ukrytą na jego ramieniu. Już nie mówiła nic, już nie prosiła o wiarę i o ufność. Wiedziała, że on kłamie. Ale — niech robi co chce.

Jeśli jej nie ufa, jeśli jej nie potrzebuje w chwili ciężkiej — to o na go oto zaufanie błagać już nie będzie. Poniżać się, narzucać mu się nie chce. Nie — to nie. Przyszła do niego z otwartem sercem, uklękła przed nim i jak o łaskę prosiła, aby jej połowę swego ciężaru dał do dźwigania. Prosiła, jak umiała najlepiej. Nie chciał, zamknął się — i skłamał. A więc dobrze! Niech sobie radzi sam. Ona o nic już nigdy pytać nie będzie.

Gdy wreszcie wstali od stołu i rozeszli się każde do siebie, na sercach obojga osiadł nowy ciężar, którego dotąd nie było.

X.

M a l i n o w i c e — 16 lipca.

Wczoraj skończyło się siedm lat od naszego ślubu. Tylko siedm lat! A mnie się wydaje, że to stulecia minęły. Otworzyłam tę książkę, którą tylko z przyzwyczajenia ze sobą wożę, bo od wieków nic w niej nie zapisuję, otworzyłam i przeczytałam to, co pisałam tu, w tychże samych Malinowicach, w wilję mojego ślubu. Czy być może, abym to ja pisała? Ja, ta pełna życia, wiary i zapału, ta rozkochana, ta promienna, ta rwąca się do szczęścia dziewczyna, która szła do ślubu, mówiąc: teraz dopiero rozpocznę życie! Ja? ta rozmiłowana panna młoda, spodziewająca się znaleźć w małżeństwie szczęście bez granic, podział myśli i uczuć, bratnią duszę do wspólnego lotu w jakieś nadziemskie sfery, silne ramię do wędrówki po krainie zaświatowych marzeń, a co najmniej przyjaźń, porozumienie...

Minęło zaledwie lat siedm, a czemże dziś jestem? O, prędko umieją się z nami załatwić ci panowie świata! Po siedmiu latach małżeństwa — jestem starą kobietą. Nie powierzchownie może, chociaż niejeden siwy włos już mi na głowie świeci — ale wewnętrznie, moralnie. O, jak starą! jak zupełnie już zniszczoną, skończoną — już bez żadnych nadziei, ani wiary, ani marzeń, ani chęci do niczego na świecie.

Mam rok trzydziesty, a jestem tak zmęczona, jak gdybym dźwigała na barkach niejedno istnienie, ale tysiące istnień — tych kobiecych, połamanych, popsutych, zszarganych istnień, co to porozbijane na szczątki twardą jakąś ręką, nie umieją i nie mogą się jej oprzeć. Dźwigam je

więc — i swoje i cudze, i także nie umiem i nie mogę się oprzeć tej ręce, co mnie rozbiła, ani szczątków tych pozlepiać — i również jestem bezradna — ach, i zmęczona, zmęczona!

„Lasciate ogni speranza!“ — to jest napis, któryby powinien być wyryty na każdej obrączce ślubnej.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Przewodnik po Lwowie,* ułożył Franciszek Barański — z planem i widokami Lwowa. Nakładem księgarni H. Altenberga. Lwów 1902.

Wszystkie wydane dotąd „Przewodniki po Lwowie“ odznaczają się tem, że, podobnie, jak kalendarze, stanowią raczej interes wydawniczy, w którym maleje i niknie interes sztuki, historji i zabytków naszego grodu. Zwykle do napisania „Przewodnika“ wystarczy zestawić t. zw. skorowidz orjentacyjny i dodać parę szczegółów statystyczno-historycznych, zaczerpniętych czasami ze źródeł bardzo mętnych, zarejestrować je w sposób suchy, katalogowy i w ten sposób książeczka jest gotowa.

Jeden tylko, t. zw.: „Wilda Przewodnik po Lwowie“ z r. 1878, napisany przez Stanisława Kunasiewicza, odstępuje od zwykłego szablonu. Jest tam więcej nacisku na historję ogólną Lwowa, więcej materjału, który dziś jeszcze zająć może inteligentnego podróżnika, że wspomnimy tylko o bardzo udatnym artykuliku o archiwach lwowskich i w. i.

Dla podróżnika, bawiącego po raz pierwszy we Lwowie, a i dla Lwowianina, który przeciętnie zupełnie nie zna historji swojego miasta, nagromadzenie dat założenia poszczególnych kościołów, czy instytucji, niema żadnej wartości. Cyfry wyślizną się z pamięci, tak samo i nazwiska, dla nieobeznanych dokładnie z historją, pustym są tylko dźwiękiem. Opowiadać w „Przewodniku“ o starych budynkach, zabytkach. historycznych miejscach, można tylko na tle ogólnej historji i cywilizacji lwowskiej, a wtenczas i szczegóły, godne uwagi i widzenia, uwypuklą się i dadzą to, co ideałem być powinno przewodnika: ogólny pogląd i umotywowane wrażenie całego miasta, jako jednostki, która żyje i rozwija się przez całe wieki i to wieki, tak, jak we Lwowie, przesławnej przeszłości.

O ile wydany przez księgarnię H. Altenberga „Przewodnik“ zbliża się do tego ideału?

Autor, p. Barański, włożył weń wiele sumiennej pracy, zebrał i zarejestrował wszystkie ciekawsze zabytki i daty, do nich się odnoszące, a to na podstawie najnowszych opracowań. Trzeba było w te wszystkie szczegóły tchnąć duszę tylko, syntezą wieków je ubarwić, a dałyby one czytelnikowi wspaniały, choć miejscami ze starości już wyblakły obraz, skupiłyby w sobie myśl miasta naszego odwieczną i ciągnący się nieprzerwanie czyn jego mieszkańców...

W każdym razie omawiany „Przewodnik“ o całe niebo stoi wyżej od swoich poprzedników.

Oparty na wydanym przez gminę m. Lwowa w r. 1899 „Skorowidzu“, ułatwia on znakomicie orjentowanie się, a przejrzystym układem daje możność dokładnego zwiedzenia miasta, zwracając uwagę szczegółową na wszystko, co jest godne widzenia.

Gdy się do tego wszystkiego doda jeszcze wykwintną stronę typograficzną wydawnictwa, to bez przesady powiedzieć można, że „Przewodnik po Lwowie“ p. Barańskiego jest bezwarunkowo najlepszym ze wszystkich przewodników dotychczasowych.

Fr. Jaw.

PISMA. *Nowe Słowo.* W jednym w ostatnich numerów tego pisma, redaktorka jego, p. Turzyma, w art.: „Polityka i moralność“, omawia potrzebę „przeciwdziałania niemoralnej i szkodliwej pod każdym względem frymarce głosami kobiecemi, jakie przy każdych wyborach prowadziły tak zw. „hjeny wyborcze“. W Nrze 7-ym, w artykule: „Szkoła wydziałowa, liceum czy gimnazjum żeńskie“, p. Bujwidowa podnosi braki szkół średnich w Galicji, zwracając na to uwagę, że szkoła wydziałowa nie może przygotować kobiet dostatecznie do studjów uniwersyteckich. P. Bujwidowa nie zadowalnia się zadaniem szkoły średniej dla kobiet z programem męskim, gdyż program ten, przez przeładowanie klasycyzmem, jest zły i nieracjonalny, ale żąda nowego typu szkoły średniej dla młodzieży, zarówno płci mękiej, jak i żeńskiej.

Z artykułów teoretycznej treści, przytem posiadających znaczenie praktyczne dla kobiet, zaznaczyć wypada artykuły p. Heleny Gumplowicz: „O drobnym handlu i o stowarzyszeniach współdzielczych“.

Artykuły te posiadają znaczenie dla kobiet, gdyż kobietom zwykle przypada w udziale czynienie zakupów dla całej rodziny. Artykuły te posiadają wartość teoretyczną, gdyż p. Helena Gumplowicz (Landau) posiada obszerne wykształcenie ekonomiczne i zdolnościami do ekonomicznego myślenia celuje między naszemi ekonomistkami. Autorka zaznacza znaczny wzrost drobnego handlu w bieżącym okresie. „W Niemczech wzrosła ilość sklepów od r. 1882 do 1895 z 452725 na 635209, to jest o 44 procent, podczas, gdy równoczesny wzrost ludności wynosił tylko 13 procent; w Austrji od r. 1862 do 1890 ludność wzrosła o 22 procent, ilość zaś sklepów o 97 procent. Zubożały majsterek, służąca, która w długich latach ciężkiej służby grosza sobie uciułała, spensjonowany urzędniczyna, wszystko to garnie się do sklepikarstwa, w nadziei łatwego zarobku. Fabrykant, kupiec-gro-

sista, obaj wieczni w pogoni za odbiorcą, udzielają mu kredytu, na polecenie żądnego prowizji agenta, kupiec-meblarz dostarcza urządzenia i tak przy ulicach miast większych i mniejszych powstają długim szeregiem owe handle towarów korzennych, bławatnych, przyborów do pisania i t. d., które często już po paru miesiącach zmieniają właściciela. Producent, w wysokich cenach udzielanego towaru, znajduje ubezpieczenie od możliwych, a częstych strat, zgraja pośredników natręctwem wymusza wyrównanie zobowiązań, a koszta tych ciągłych uporczywych prób znalezienia w handlu bez kapitału, bez znajomości rynków, a nawet bez należytego obznajomienia się z rachunkowością, spadają w ostatecznej linji na kupujących“.

Na nadmierną ilość osób, zajmujących się handlem w Galicji, wskazuje autorka: „Podczas, gdy liczba handlarzy towarami wynosi w całej Austrji 3·77 ludności, spotykamy w handlu towarowym w powiecie tarnowskim 5·80, tarnopolskim 5·37, stanisławowskim 5·56, kołomyjskim 5·66 ludności“.

„Podrożenie cen, spowodowane handlem detalicznym, nieładem sklepów i sklepików, najdotkliwiej uczuwać się daje gospodyniom, zmuszonym szczupłością środków robić zakupy z dnia na dzień w drobnych ilościach, oraz uboższym warstwom ludności, wydającym prawie cały swój dochód na życie. W ich łonie zbudziła się po raz pierwszy myśl samoobrony przeciw szkodom, wypływającym z wadliwego, chaotycznego pośrednictwa między wytwórcą a spożywcą i przeciw wyzyskowi handlarza, która stała się następnie bodźcem do zakładania stowarzyszeń spożywczych. Stowarzyszenia te spotykamy w znacznej liczbie w Anglji, Niemczech, Szwajcarji, Belgji i Danji, w mniejszej we wszystkich krajach Europy“. Następnie autorka wyjaśnia znaczne oszczędności w kosztach sklepów stowarzyszeń spożywczych, na reklamie i lokalu, zwracając uwagę na to, jak ze zwiększeniem się obrotu, zmniejsza się procent wydatku na lokal, wykazując przykładami statystycznemi, że jeden sklep stowarzyszenia spożywczego zastępuje 10 zwykłych sklepików.

Byłoby pożądanem, aby nasze stowarzyszenia kobiece zajęły się organizowaniem stowarzyszeń spożywczych. *Wł. St.*

SZTUKA. *F. Jasieński w Krakowie* rozpoczął już w tych dniach drugą swoją wędrowną kampanję artystyczną — orędziem do „poważnego, rozumnego i wytwornego“ Krakowa. „Doskonale zrozumiany — pisze on — życzliwie przyjęty, energicznie poparty przez artystów, prasę i publiczność, urzeczywistniać będę w tej wysoce kulturalnej i nad wyraz sympatycznej atmosferze, znakomicie pracę ułatwiającej, program, dający się streścić w trzech następujących punktach: dalsze gromadzenie wszelkiego rodzaju dzieł sztuki, których faktycznym posiadaczem jest polskie społeczeństwo; zaznajamianie ogółu z najznakomitszymi i najciekawszymi objawami ogólno-ludzkiej twórczości z zakresu sztuk plastycznych; popieranie i wywoływanie objawów sztuki narodowej we wszystkich kierunkach“. — P. Jasieński w r. b. postanowił główny nacisk położyć na sztuki graficzne Chce więc poglądowo na najznakomitszych przedstawicielach tych sztuk pouczyć ogół, czem jest akwaforta, litografja, drzeworyt i t. p. i wpoić w niego przekonanie, do jakiego stopnia tego rodzaju dzieła sztuki są wykwintne i interesujące, będąc równocześnie tańszemi i dla szerszych warstw dostępniejszemi, aniżeli n. p. obraz olejny lub rzeźba, od których często znacznie wyżej stać mogą pod względem artystycznym. W tym celu zgromadził p. J. dla swych tegorocznych wystaw ogromny materjał, obejmujący wszystkie dziedziny sztuk graficznych, przeszło 2000 dzieł kilkuset artystów różnych epok i narodowości, zwłaszcza akwaforcistów. Ma więc zamiar pokazać przedewszystkiem Rembrandta, jako akwaforcistę, t. j. wszystkie akwaforty wielkiego mistrza holenderskiego we wszystkich stanach, a mianowicie we wybornych reprodukcjach facsimilowych (dwa wydania). Następnie przyjdzie kolej na Goyę, słynnego malarza hiszpańskiego, który, jako akwaforcista, jest jednym z najgłębszych i najoryginalniejszych satyryków świata, oraz na Ropsa, niedawno zmarłego, a tak sławnego obecnie akwaforcistę i rysownika francuskiego, wreszcie przyjdą po kolei wszyscy wybitniejsi współcześni akwaforciści holenderscy, francuscy, angielscy, niemieccy i t. p., oraz cała produkcja wytwornego naszego akwaforcisty, Józefa Pankiewicza. — W ten sposób, zaznajomiwszy ogół ze sztukami graficznemi, ich charakterem i znaczeniem i obudziwszy do nich zamiłowanie, a przynajmniej zainteresowanie się niemi, spodziewa się p. J. i u nas wywołać wreszcie ruch, na tem polu dotąd prawie że zupełnie przez artystów naszych zaniedbywanem, a przez publiczność ignorowanem; zamierza niebawem założyć w Krakowie „Towarzystwo polskich artystów-grafików“, które już w roku przyszłym ma wydać, za cenę przystępną, pierwszą swoją „Tekę“, zawierającą oryginalne prace naszych artystów. „Teka“ taka znaleźć się powinna w każdym polskim domu, interesującym się sztuką narodową. — Na zakończenie zamierza jeszcze p. J. wystawić: ceramikę japońską i ornamentykę arabską we wspaniałych reprodukcjach chromolitograficznych. — Na wystawy p. J. właściciele drukarń, zakładów litograficznych i fotograficznych, proszeni są o żądanie biletów bezpłatnego wejścia do rozdzielenia ich między pracowników.

W styczniu, przyszłego roku, p. Jasieński ze swemi wystawami zawita na miesiąc do Lwowa. Biada wszelakiej „kowacczyźnie“! *A. C.*



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8